Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 1. Sierpnia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 31.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

GŁOWA BUDOWCA

ARABESKA*)

WACŁAWA BENESZA - SZUMAWSKIEGO

przełożył z czeskiego

B. G.

W rodzinie naszej zachowało się niejasne podanie, iż w Amsterdamie mieszkał jeden z przodków naszych, który tam przeniósł się był po bitwie na Białej Górze razem z wielu wychodźcami z ojczyzny czeskiej; podanie to już w dziecięcych latach budziło we mnie pragnienie, by odwiedzić starodawne miasto niderlandzkie, co przyjęło było nieszczęśliwych emigrantów czeskich...

Po rozmaitych przygodach, które nie zajmowałyby czytelnika, spełniło się pragnienie moje i po małej wycieczce do Anglji płynąłem na pokładzie parostatku przez jezioro Zuiderskie do gościnnego Amsterdamu.

Dzień był prześliczny, niebo jasne, bez chmurki, białawe mewy bawiły nas swym bujającym lotem, a statek nasz, prowadzony przez sternika ostrożnie pomiędzy mieliznami i skałami przed wejściem do Ypsylonu ostrym kantem przerzynał lazurowe fale, z harmonijnym pluskiem bijące o boki parostatku.

Był już wieczór, gdy wjeżdżaliśmy do portu; blizkie wzgórza opromieniały wieczorne zorze, ale równina i miasto w pomroku już tonęły; przed nami krążyło tysiące łódek, port, wyglądający niby las masztów, poniekąd zasłaniał widok miasta, leżącego przed nami, a będącego celem marzeń, pragnień, wytworów fantazji mojej młodości, które wszystkie wobec miasta na nowo budziły się we mnie...

Nie będę nudził czytelników opisem Amsterdamu, mającego nieco jednostajny charakter średniowieczny, architekturę ubogą, szare mury, ulice wąskie i ponure; nie miałem przytem ochoty do bliższego oglądania miasta, wszystkie bowiem myśli moje skupiały się w jednej, mianowicie aby doszukać się pamiątek po wygnańcach czeskich, których pobyt w Amsterdamie dotąd ciemna pokrywa zasłona.

Już na drugi dzień począłem robić poszukiwania po muzeach i wybadywać dzielnych mieszkańców Amsterdamu. Wszelako znalazłem mało i to rzeczy nader małoznaczne, w dalekiej tylko z życiem *eksulantów* *) czeskich zostające styczności. Jedynie niektóre firmy handlowe, jak Volney, Brezan, Collonaty, przypominały mi czeskie nazwiska, wszelako właściciele ich nie mieli nawet pojęcia, że w żyłach ich krew wygnańców czeskich płynęła.

Burza, która emigrację czeską rozwiała na wsze strony świata, zasypała dalszy ich żywot i czyny, nawet groby ich pogrążyła w zapomnienie i rozrzuciła popioły; powiędli, pomarli oddaleni od ukochanej ojczyzny, w boleści i marnej tęsknocie za powrotem i nie pozostawili śladu po sobie, chyba w sercach ludu czeskiego...

Nakreśliłem w duszy tyle powabnych obrazów o rezultatach mojej podróży i tak mocną żywiłem nadzieję, że wyjaśnię nieznany dotąd rozdział z dziejów emigracji czeskiej, iż tem boleśniej zawód odczułem.

Pewnego dnia markotny, tracąc na dobre nadzieję, co mię złudnym swoim głosem wabiła, wstąpiłem do prywatnego muzeum starożytności, jednego z tych, jakich w Amsterdamie niemały poczet się znajduje; muzeum to należało do margrabiego de T.

Stary kustosz, mały, ruchliwy człowieczek z iskrzącemi oczyma, z krótką szyją i białemi rękoma, ubrany w długi brunatny surdut, z ochotą oprowadzał mnie po muzeum. Wszelako nic mnie nie zadowoliło i tu nie znalazłem tego, czego pragnąłem. Zawziętość losów nietylko pogrzebała dawniejszą naszą siłę i sławę, ale nie zachowała nawet kącika, w którym mogłyby ukryć się chociaż relikwie męczeństwa czeskiego...

Kilkakrotnie przypominałem starcowi rzeczywisty cel odwiedzin, wszelako ten za każdym razem pokręcił siwą głową i pokazywał mi dalej rzadkie przedmioty, które w tej chwili były dla mnie nadzwyczaj obojętne; starzec wiedział coś z historji czeskiej, zajmowałem go, więc na przekór memu roztargnieniu cierpliwie oprowadzał mnie po salach i otwierał wszystkie skarby bogatego muzeum.

Przyszliśmy nakoniec do sali obrazów, do komnaty w pięknym stylu zbudowanej, rozdzielonej kolumnadą w czworobok i dokoła obwieszonej obrazami. Byli tam w mistrzowskim porządku przedstawiciele szkoły malarskiej niderlandzkiej i flandryjskiej w oryginałach albo kopjach. Z wzrastającem upodobaniem począłem oglądać obrazy.

Naraz starzec drgnął wśród opowiadania, ręką uderzył się w czoło i wyrzekł skwapliwie:

— Jakże mogłem zapomnieć? mamy tu coś dla pana!

Ze zdziwieniem spojrzałem na niego.

— Poczekaj pan — mówił dalej szybko kustosz — czy znasz malarza zwanego Bohemus?

— Czy macie obraz jego? — zawołałem i promyk nadziei znowu zajaśniał w mej duszy.

*) Arabeskami nazywają Czesi w ostatnich czasach powiastki i obrazki małych rozmiarów.
(Przyp. tłum).

*) Wychodźcy czescy, którzy po bitwie na Białej Górze opuszczali ojczyznę, nosili łacińskie nazwisko «eksulantów.»
(Przyp. tłum.)

— Obrazu nie mamy, ale kawałek obrazu; zaraz go znajdę — odrzekł starzec, otwierając starożytną skrzynię z ogromnym zamkiem.

Nie spuszczając oka z mego przewodnika, zamyśliłem się. Rozważałem w duszy, że Bohemus oznacza jedynie rodowitego Czecha. Hollar *) podobnież podpisywał się na licznych rycinach swoich.

Starzec tymczasem oniemal schował się w wielkiej skrzyni dębowej i grzebiąc w obrazach, mówił pojedyńczemi słowami:

— Jak mogłem zapomnieć? obraz znakomity... znakomity... Szkoda, że nie zachował się cały... Ale jakże mogłem zapomnieć!

Poszukiwania trwały już czas jakiś, począłem lękać się nowego zawodu, wszelako starzec w skarbach tam złożonych grzebał z taką pewnością, że wątpić nie mogłem.

Nakoniec wyciągnął kawał płótna, rozwinął je ręką i spostrzegłem wycinek z większego obrazu, na nim znajdowała się ścięta głowa starca, kosz kata i z boku widać było głowę psa, który chciwie krew zlizywał.

Starzec odwrócił płótno, na drugiej stronie nie było nic więcej tylko napis gotycki: »*Bohemus 1630*.«

Wyrwałem z rąk starca płótno niecierpliwie, ale ze czcią, jak się bierze drogą po ojcu spuściznę; czułem, że serce żywiej mi bije i z niewysłowionem wrażeniem poglądałem na tę pamiątkę.

Zatopiłem wzrok w obrazie, który wnet dziwny urok począł na mnie wywierać; w łonie mem wzmagało się wzruszenie. Obraz rzeczywiście tajemniczą jakąś siłę posiadał. Sala, płótna, starzec — całe otoczenie zniknęło, rozpłynęło się, widziałem tylko ściętą głowę, mistrzowski utwór sztuki...

Oczy głowy były wielkie, piękne, rozwarte w śmiertelnym zapasie, brodę srebrną krew spryskała, a na majestatycznem czole wzniosła myśl zdawała się panować.

Im więcej patrzyłem na głowę, tem rosła bardziej ona, rosła i zdawało mi się, że wokół niej błyszczy złoty blask jak u świętych i że wznosi się w powietrze na skrzydłach aniołów! Ćmiło mi się w oczach, czułem dreszcz gorączkowy... Nie widziałem już głowy, ale przedemną na obrazie stał czcigodny starzec męczennik, który życie swe za naród oddał w ofierze...

Potężne wrażenie obrazu ogarniało całą moją istotę, czułem, jak krew bije mi w skroniach, wspomnienia losów po bitwie na Białej Górze i cierpień narodu czeskiego harcowały mi po głowie. Wielka łza wystąpiła w mem oku. Widzę przed sobą rynek starego miasta, czarne rusztowanie, szydercze twarze żołdaków Liechsteina, lud gapiący się głupowato, słyszę żałosny płacz niewiast i dzieci, bębnienie, a na ziemi leży ścięta głowa Wacława Budowca, *) o której powiadają, że wypadła z kosza i że pies krew jej lizał.

A ten pies na obrazie miał okropną postać, pół ludzką i pół djabelską...

Kustosz muzeum delikatnie wyrwał mię z marzeń.

— No, czy jesteś pan zadowolony? — zapytał i machnął ręką.

Nie mogłem mówić, byłem cały upojony i zachwycony obrazem, a jednak nie mogłem wytłómaczyć sobie, dlaczego marny kawałek płótna tak niesłychane wywiera na mnie wrażenie.

— Wiesz pan, co ten obraz miał przedstawiać? — zapytał znowu starzec, a nie czekając odpowiedzi dodał: — tracenie Czechów po bitwie na Białej Górze.

Słowa jego nie mogły oderwać mię od obrazu, który z duszą rozdartą w rękach swoich trzymałem.

— Posłuchaj pan — począł znowu starzec — jakim sposobem ze wspaniałego obrazu został kawałek; zajmie to pana, jest to historja życia ziomka pańskiego...

Wlepiając w obraz iskrzące oczy, słuchałem przez pół tylko z początku słów starca, który tak począł opowiadać:

— Gdy Czesi uchodzili z kraju przed krwawem prześladowaniem, wielu z nich uciekło do naszego miasta i tu przyjacielskiego doznało przyjęcia. Mieszkańcy Amsterdamu wszelkiemi sposobami starali się ulżyć ich cierpieniom. Między Czechami był blady młodzian, malarz z niepospolitym talentem. Biedak ciągle był posępny i zamknięty w sobie, nigdy wesela na twarzy jego nie widziano. Uśmiech jego rozdzierał duszę, a słowa brzmiały żałośnie, niby gruda ziemi na trumnę spadająca... Opowiadano o nim, że dzicy żołdacy napadli na dom jego rodziców, że ojca i matkę wrzucili w płomienie, a tylko jego jednego ocalił wierny sługa, który czyn ów życiem przypłacił.

Biedny wygnaniec unikał ludzi, z bólem swym zamykał się nawet przed rodakami, którzy na artystę poglądali jako na nadzieję swoją i pociechę na wygnaniu. Malarz sam chciał ból swój nosić w sercu i sam upadać pod jego brzemieniem. Czasami chwytał za pędzel, ale wszystkie obrazy jego miały treść straszliwą, przedstawiały same zbrodnie, bitwy, pożary i przelew krwi...

Rodacy i przyjaciele sztuki namawiali go, aby inne obierał przedmioty, pobudzali go do tworzenia, usiłowali obudzić w nim dumę artysty — ale on z gorzkim wyrzutem poglądał na nich i cierpko im odpowiadał:

— Może mam malować Madonny, niebiosa i raj, albo sceny karczemne i zabawy? Nie, nie mogę wziąć pędzla do czego innego, tylko do tego, co mnie pali w głowie, co mi serce rozdziera i czem dusza moja jest struta. Maluję tylko kraj mój, a tam...

I rodacy milkli i płakali.

Niekiedy dał się wciągnąć do towarzystwa malarzów amsterdamskich, lecz ich wyuzdanie prędko kazało mu uciekać do zakątka, gdzie żył samotnie ze swoim smutkiem i okropnemi wspomnieniami.

Pewnego dnia zniknął z miasta, przyjaciele mówili, że nie mógł oprzeć się tęsknocie za strzechą rodzinną, gdzie go nie czekało ani bijące serce matczyne, ani serdeczny uścisk ojcowski, lecz tylko obumierające oko wielkiej męczennicy, ojczyzny czeskiej i ręka mściwa.

Przepędziwszy czas jakiś na zgliszczach rodzinnego domu, tułał się po Kalwarji czeskiej od jednego miejsca zgrozy do drugiego; wszędzie podówczas przerażająca panowała rozpacz.

Znów zjawił się w Amsterdamie, ale zmieniony do niepoznania, twarz jego była zapadła, usta zsiniałe, a boleść straszliwa widocznie targała nić jego żywota.

Rodacy, jak powiedziałem, kochali go, był ich chlubą. W dalekiej obczyźnie serca wygnańców zrosły się z sobą; wspólne nieszczęście i tęsknota łączyły je nowemi silnemi węzłami. Obawiali się o niego i zaklinali go, aby starał się boleść swoją przytłumić i nie poddawał się rozpaczy.

Malarz na to zawrzał gniewem.

— Ja mam oszczędzać się! — zawołał — dbać o żywot nędzny i zmarnowany w dalekiej obczyźnie, gdy bracia moi giną. Idźcie i zobaczcie zwłoki porzucone na rozstajnych drogach... Idźcie i zobaczcie ziemię spustoszoną, a potem — ha, ha — dbajcie o własne zdrowie.

— Nie, nie, dajcie mi pokój — mówił dalej z rosnącym gorączkowym zapałem — umrę, nie chcę żyć, życie bowiem zbrodnią mi się wydaje. Zostawię wam wszelako obraz, a w nim zamknę całą boleść moją, rozpacz, niewygasłą nienawiść i jedno jeszcze pragnienie. Obraz mój musi wstrząsnąć do głębi duszy, szaloną wściekłością przejąć każdego, kto nań popatrzy... Obraz mój musi być wiecznym świadkiem krzywdy wyrządzonej Czechom i wieczną skargą na ich nieprzyjaciół.

Przyjaciele zasmuceni opuścili ziomka swojego.

I malarz dotrzymał słowa!

Zamknąwszy się przed całym światem, pracował nad wspaniałym obrazem, w którym połączył całą swą sztukę i wszystkie uczucia swoje, a im więcej schnął i umysł jego się zasępiał, tem usilniej z gorączkowym pracował pośpiechem.

Obraz był porywający, a straszliwy w swej piękności; przedstawiał kaźń na Starem mieście pragskiem...

Malarz zwołał rodaków, by zobaczyli płótno skończone.

Przestrach ogarnął wygnańców na widok malarza z wychudłem ciałem, twarzą śmiertelnie bladą i zsiniałą, z oczyma świecącemi dziwnym jakimś blaskiem; boleśnie z niemym wyrzutem poglądali nań, widząc niknącą w oczach nadzieję i dumę swoją.

Malarz odsłonił obraz i z niewymownem zdziwieniem ujrzeli wszyscy porywające, cudownie piękne przedstawienie krwawej tragedji czeskiej.

Wzburzony i wzruszony do głębi ar-

---

*) Wacław Holar z Prachni, znakomity starożytnik, po bitwie na Białej Górze musiał opuścić ojczyznę i udał się do Anglji, gdzie dał początek sztuce stalo i miedziorytnictwa, która później w kraju tym tak świetnie zakwitła. (Przyp. tłum.)

*) Wacław Budowec, jeden z magnatów czeskich, straconych po bitwie na Białej Górze z rozkazu Ferdynanda II-go. (Przyp. tłum.)

tysta mówił im długo biadając nad ziemi swej niedolą...

Wygnańcy słysząc to, załamywali ręce z boleści, co im serce rozdzierała i gorzko płakali.

Malarz poglądał na nich badawczemi oczyma, szukał na twarzach ich wrażenia, jakie obraz na nich uczynił; nagle zaiskrzyły mu się oczy i piorunowym zawołał głosem:

— Wy płaczecie, wy baby, tchórze, wy płaczecie nad mym obrazem? zostawcie płacz babom, boleść mnie pozostawcie, waszej nie potrzebuję.

— Ha, ha, ha — mówił dalej jak obłąkany — więc brak czegoś memu obrazowi, więc to jest dzieło bazgracza, nie ma w nim tego, co obudziłoby w was to poczucie, jakie mną miota... ha, już wiem, co mu nie dostaje... ognia!...

I zerwał się lotem błyskawicy, a pochwyciwszy świecę, rzucił się na obraz i zapalił go.

Na ten wybuch przyjaciele jego stali niby piorunem rażeni, przyszedłszy do siebie, rzucili się na ratunek obrazu, ale malarz wstrzymał ich nadludzką siłą...

Obraz dopalał się; nagle krew pokała się na piersiach malarza, rana otworzyła się i nieszczęsny wygnaniec upadł na ziemię...

Nazajutrz rodacy stali nad jego trupem; duch jego powrócił do ojczyzny, wyzwolony od bolu i rozpaczy.

Z obrazu jego ocalono tylko ten kawałek, który rodzina pewnego eksulanta czeskiego długo chowała ze czcią pobożną; po jej wygaśnięciu dostał się naszemu margrabiemu.

Temi słowy zakończył starzec...

Przycisnąłem do ust obraz i w milczeniu uścisnąwszy starca za rękę, odszedłem z sercem zbolałem i twarzą łzami zroszoną.

ZAGADNIENIA BOTANICZNE

przez

PROF. WŁAD. BOBERSKIEGO.

(Dokończenie).

Lecz nietylko ograniczano się na samem rozpatrywaniu się w przyrodzie i systematycznem grupowaniu jej tworów. Już uczony kanclerz Elżbiety lord Bakon uczył, iż przyrodnik chcący zbadać tajniki przyrody, kamień probierczy doświadczenia winien wziąć do ręki.

Odpowiedzi, jakie przyroda daje, nadto są dwuznaczne, jak wyrocznie bogów, ztąd zmusić ją wypada do dawania jasnych i pewnych wyroków. Nauka ta błogie wydała owoce.

Botanicy 18-tego stulecia silili się, na podstawie doświadczeń, wydrzeć przyrodzie jej najskrytsze tajniki i równie szczęśliwie im się to powiodło. Anglik Hales uważa czynności żywotne rośliny jako wyniki sił fizycznych, on mierzy siłę, z jaką wypływa sok wiosenny naciętej winnej macicy wysokością słupka rtęci i porównuje ją z biciem tętna tętnicy udowej konia; on waży ilość wody, jaką grusza lub słonecznik w jednej wyparowują dobie i pisze w r. 1727 statykę roślin, uważając życie roślinne jako fizyczne zagadnienie. Francuz du Hamel wydaje w r. 1758 fizykę drzew, w której bada prawa kierujące płynieniem soków w drewnie i w korze. W tym samym roku pisze Bonet o znaczeniu liści i siłach zwracających je ku światłu i wywołujących przeziewanie. Wreszcie gdy i chemja, otrząsłszy się z mrzonek alchemji, pod koniec 18-tego stulecia pomocną botanice podaje rękę, wstępuje fizjologja roślin godnie w poczet umiejętności. Anglik Priestley i Belgijczyk Ingenhons odkrywają przedziwną łączność świata roślinnego ze światem zwierzęcym i wykazują dowodnie, iż kwas węglowy, który wydychają zwierzęta, przyjmują rośliny, a przyswoiwszy sobie węgiel, wydzielają pod wpływem promieni słonecznych tlen, utrzymujący życie zwierzęce. Myśli powyższe rozświeca pod koniec 18-tego wieku Saussure. Udowadnia on, iż nietylko powietrze zawierające zawsze parę odsetków kwasu węglowego, we wzroście roślin czynny bierze udział, lecz także wielce przyczynia się ziemia, z której korzonki rośliny czerpią wodę, amoniak i rozmaite inne nieorganiczne związki, które po spaleniu rośliny jako popiół zostają. Na tej podstawie buduje Liebig gmach chemji rolniczej, jeden z wielkich tryumfów chemji nowożytnej.

Niemniej też płodnem okazuje się pole morfologji.

Nieśmiertelny wieszcz niemiecki, Göthe, jakkolwiek nie należał do cechu przyrodników, odsłonił przecież swym wieszczym duchem niejedną zagadkę świata roślinnego. Tu natchniona dusza poety objęła łacniej tajniki przyrody, niżeli drobnostkami zmącone śledcze oko przyrodnika. Nić przewodnia, którą się Göthe przy badaniu przyrody kieruje, jestto idea ciągłego w świecie rozwoju. Każdy organizm przechodzi, według zdania Göthego, szereg zmian ciągłych, nim ostatecznego dobiegnie celu. Nie znamy tedy zwierzęcia ani rośliny, nie zbadawszy pierwej ich historji rozwoju. Ztąd to śledziło badawcze oko Göthego przebieg zmian zewnętrznych ciała rośliny, począwszy od jej kolebki, kiedy spowita w ciasną powłokę swe więzy skruszy i pierwszym listeczkiem promień słońca ujrzy, jak się potem licznych listków zielenią krasi, jak część owej zielonej szaty zmienia na stroje godowego kwiecia, z którego wreszcie jako kres ostatni owoc, ten cel życia rośliny, powstaje.

Ta wspaniała idea przemiany ciała roślinnego, stała się podstawą nowej gałęzi umiejętności botanicznej, morfologji, która mącącą rozliczność narządów rośliny do dwu głównych pierwiastków sprowadza — listka i łodygi. Oto dualizm ciała roślinnego, na którym wsparty Aleksander Braun wycieniował z niemiecką skrupulatnością nowoczesną morfologję roślin.

Lecz Göthe do połowy dotarł drogi — zaczął od chwili przyjścia na świat rośliny, kiedy zielona jej główka nad powierzchnię ziemi się podniosła, a korzonka nóżka w ziemię się wdrożyła — nie zdarł jednak tej ciemnej zasłony, co poczęcie rośliny zakrywa. Trzeba było odkryć zagadkę jej okresu życia zarodkowego. Lecz oko nawet zbrojne w lupę, nieodstępną towarzyszkę botaników szkoły Lineuszowej, zbyt słabem okazało się narzędziem, by można było zajrzeć w ten mały światek tajników. Drobnowidz dopiero pożądane oddał usługi. Wspomnieliśmy, iż Malphigi i Grew pierwsi powzięli myśl badania za pomocą mikroskopu wnętrza rośliny. Dziwny wypadek zrządził, iż obadwaj uczeni 29. grudnia r. 1671 wynik swych prac król. towarzystwu umiejętności w Londynie przedstawili. Dzień ten, to dzień urodzin mikroskopicznej anatomji roślin. Od tego czasu wiemy, iż treść rośliny nie równa treści ciała zwierzęcego i nie ma krwi w żyłach płynącej, nie ma nerwów, a więc czuć nie może, jakto mniemał Teofrastes, lecz że każda cząstka jej treści od korzonka do szczytu z drobnych się składa pierwiastków, komórkami zwanych, w których wnętrzu soki zamiast krwi krążą. Wspomnieliśmy, iż w niepamięci jednego stulecia legły te piękne nauki odkrycia i dopiero obecny wiek je z pyłu zapomnienia odgrzebał. Jak powstaje zarodek rośliny? — oto pierwsze zagadnienie, które mikroskop miał do rozwiązania. Jakoż po wielu mozolnych próbach, dał nam ostateczną odpowiedź wyświecającą ten tajemniczy proces poczęcia? Od wspaniałego dębu do nikłej trawki, wszystkie rośliny z jednej kształtowały się komórki, która we wnętrzu zalążka (ovulum) powstaje. — Z jednej komórki cały twór nowy, to tajemniczy akt tworzenia, który bystrem drobnowidza okiem przeniknął człowiek!

Tu się nasuwa drugie pytanie, jak z tej drobnej komórki roślina z całym przepychem i liczbą organów wyrasta. I tę zagadkę rozwinął drobnowidz. Po tajemniczym wpływie zapłodniającego pyłku kwiatowego, dzieli wspomnianą komórkę poprzeczna przegroda na dwa osobne oddziałki, z których się każdy na nową zmienia komórkę; te rosną i znowu dzielą się na dwoje, by nowemu dzieleniu znów miejsca ustąpić. Według przyrodzonego każdemu rodzajowi planu, wznosi się rośliny misterna budowa, powtarzająca się dziedzicznie w całem pokoleniu. Najpierw zwrócono uwagę pod względem anatomicznym na rośliny wyższego ustroju. Wkrótce jednak okazało się, iż właśnie owe roślinki, które Lineusz do gromady skrytokwiatowych zaliczył, roślinki nikłe i proste jak mchy, wodorosty, porosty i grzyby, najbardziej sprzyjają badaniu, łatwiej odsłaniają swą mniej zawiłą architektonikę i pozwalają śledzić historję całego rozwoju. Tu dopiero spotykamy na kształt wymoczków luźnie w wodzie pływające komórki zarodkowe, tu dopiero roztacza się cała rozmaitość rozmnażania się w łączni z nieprzejrzanym szeregiem przemian, o jakich Göthemu się nie śniło. Nie dziw więc, że takie niepokaźne roślinki całemi dniami śledzą z zachwytem badacze, aż się im wreszcie uda całą historję ich życia pochwycić. Nie dziw więc, że w ostatnich dziesiątkach lat wszyscy znakomici botanicy jak: Meyen, Amici, Mohl, Unger, Schleiden, Hofmeister, Schacht, Naegeli, Kützing, Sachs, swych sił na tem polu próbowali. Te morfologiczne badania wywarły też poważny wpływ na nowoczesną systematykę roślin i nie mogło być inaczej — dziś bowiem nie chodzi tylko o jałowy opis zewnętrznej postaci roślinnej, lecz zarazem o głębiej sięgające zrozumienie budowy jej i poszczególnych narządów. Pod kierownictwem wspomnianych przodowników, zbadali tegocześni botanicy historję rozwoju niemal każdej ważniejszej rośliny tak, iż rzadko gdzie w zwartym roślin szeregu jaka pozostała szczerba. Coraz to nowe mikroskop odkrywa dziwy na polu rozwoju roślin, a pośród innych obcych szermierzy i polskie jaśnieją nazwiska.

Hr. Leszczyc Sumiński dostrzega archegonie u paproci (1845). Cienkowski. Strasbur-

*

ger, Janczewski i inni profesorowie naszych uniwersytetów badają szczególnie glony, grzyby i inne skrytokwiatowe — a chcąc się dać poznać szerokiemu światu, umieszczają swe cenne rozprawy w francuskich i niemieckich czasopismach botanicznych, rozświecając swemi gruntownemi pracami niejedną zawiłą kwestję. Lecz z ukończeniem historji rozwoju rośliny, botanikowi broń mikroskopu nie wypadła z ręki, gdyż komórki, których kształt i rozwój mikroskop nam wskazał, nie są martwemi pierwiastkami składającemi ciało rośliny; każda komórka to twór sam dla siebie i dla ogółu rośliny żyjący. Komórki korzeni piją pokarm z ziemi i prowadzą podając go sobie wzajemnie dalej przez ciało do listków. Listki to płuca i ustka rośliny, czyliż znów same nie składają się z komórek, które przyjąwszy z powietrza kwas węglowy, pod wpływem rozkładającej siły promieni słonecznych wytwarzają z niego, łącznie z przejętymi korzonkiem sokami, przeróżne produkta w skład rośliny wchodzące, a oddają napowrót zwierzętom potrzebny tlen. Rośnie tedy roślina, to zawdzięcza ona wzrost swój rozwojowi komórek, wskutek odżywiania się rozrastających; jeżeli tworzą się nowe narządy, to należy szukać przyczyny tej zmiany w tworzeniu się nowych pierwiastków roślinnych (komórek); skoro znów choroba roślinę opada, możemy być pewni, że jakieś stosunki nieprawidłowe zwichnęły czynność życiową komórek, których śmierć, wiedzie nieuchronnie śmierć całej rośliny za sobą. Jeżeli tedy w ciągu ostatnich dziesiątków lat fizjologja roślin tak olbrzymie zrobiła postępy, to można rzec śmiało, iż wzniosła się ona na tę wyżynę doskonałości, tylko na zasadzie gruntownie przeprowadzonej fizjologji komórki (Hofmeister die Pflanzenzelle). Na zasadzie tedy fizjologji komórki, urosła cała nowoczesna fizjologja roślin, znakomicie przez wielu wyżej wspomnianych badaczy rozjaśniona.

Na schyłku zeszłego stulecia zaczęła się zwolna wynurzać wśród panującego okresu Lineuszowego, nowa gałęź botaniki. Dotychczas li tylko jednostki rozliczne miano na oku, nie zwracając uwagi na całość utkanego kobierca roślinnego, naśladowcy bowiem Lineusza nadto przyzwyczaili się do zapatrywania się ze stanowiska systematyki na ogół królestwa roślinnego. Tymczasem z postępem czasu nasuwały się pytania nie małej donioslości. Jaka to rozmaitość tła kobierca roślinnego. Zkąd to pochodzi, iż pewne rośliny tylko na pewnych miejscach wzrastają, iż tylko pewne zdobią okolice, do pewnych tylko milą się podniebi, albo do pewnej pną się wysokości? Cóż to za prawa, które je zmuszają trzymać się tej surowej konieczności? Oto pytania, na które geografja roślinna odpowiedź znalazła. Potężny niemiecki myśliciel i znakomity podróżnik, Aleksander Humboldt, zbudował z niezrównanym wdziękiem dla tej pięknej nauki umiejętną podstawę, na której wznieśli gmach wspaniałej geografji roślinnej Wahlenberg, Schouw, Martius, Unger i inni. Lecz w miarę badania, rozmieszczenia roślin na obecnej powierzchni ziemi, wyłaniały się na zasadach geologji oparte zdania, iż w różnych okresach geologicznych różna ziemię krasiła roślinność, że przyroda, zaczynając od najbardziej prostych tworów roślinnych, zwolna coraz to doskonalsze wytwarzała kształty i umieszczała na stosownych miejscach, na których do dziś dnia bądź jako misterne odciski, bądź jako potężne składy paliwa się dochowały. Z owych to zgliszczy odgadła ta nauka cały niemal przebieg życia roślinnego na ziemi, a jakkolwiek w tym łańcuchu stworzenia liczne brakują ogniwa, mimo to historja roślinności nieposlednią odgrywa rolę w swych rówiennic gronie. A Brongiart, J. Unger i H. Göppert najbardziej przyczynili się do rozwinięcia historji roślinności.

Potężny geniusz Darwina sprowadza zapatrywania na rozmaitość kobierca roślinnego, jaką geografja roślinna przedstawia a geologja odgaduje, znowu na inne tory.

Wykazuje on w swych dziełach, że owe rozliczne postacie roślinne bynajmniej nie są przypadkowemi, lecz są wynikiem powolnego rozwoju i przedstawiają się jako ogniwa nieprzerwanego szeregu poczynającego z brzaskiem pierwszego życia na ziemi i ciągnącego się przez wszystkie epoki geologiczne, wyłaniając się w coraz to doskonalszych typach.

Wiecznie, chociaż z wolna, niszczący ząb czasu wyposażony w rozliczne zgubne sposoby podcina wcześnie życie rośliny, a zatruwając jadem nieznanym jej zadane rany, powoduje długotrwałe czasami choroby, rozstrój organiczny i śmierć. Niema roślina cierpi i milczy, chociaż jej wnętrze szarpie choroba, a strojąc swą głowę w godowe kwiaty, chciałaby udanym uśmiechem czas jakiś ukryć swe męczarnie, aż wreszcie bolem złamana, na zewnątrz swoje okaże cierpienie; liść więdnie, gałązki usychają i sterczą smętnie, wreszcie nagi pozostaje szkielet. Jakaż przyczyna tej choroby i śmierci? Zwichnięta równowaga życia komórki sprowadza, według genialnego zdania Virchowa, niemoc organizmu.

Nosologja, to umiejętność naszych czasów. W roku 1841, pierwszy Mayen zajął się umiejętnem zbadaniem wielu chorób roślinnych, nie znalazł jednak wielu naśladowców. W r. 1850 wykrył Pluskal nadworny lekarz z Łomnicy wiele bliższych szczegółów, dalej J. Kühn w r. 1858, swemi badaniami wprawdzie znakomicie przyczynił się do rozwinięcia tej jeszcze zbyt nowej nauki, nie zdarł przecież całkowicie ciemnej zasłony, zakrywającej powstanie i przebieg chorób roślinnych. Dopiero w najnowszych czasach zaczęto badać wszechstronnie choroby roślinne, nietylko te, które powstały skutkiem niszczącego działania powietrza, skaleczeń, nieprzyjaznych wpływów gleby, lecz zarazem rozwinięto jasny pogląd na choroby, wywołane zgubnem działaniem grzybków pasożytnych — w ogóle, skoro badania mikroskopiczne rozświeciły mało uprawne mykologii pole, uchylać się poczęła i zasłona, okrywająca dotychczas niewyjaśnione tajniki.

Wiemy, że wszelkie kiśnienie i gnicie organizmów jest wypływem działania niedostrzegalnych grzybków, których zarodki napełniają powietrze; wiemy, że słodki moszcz nie przemieni się w wino, ani brzeczka nie stanie się piwem, a obadwa napoje nie skwaśnieją, ani też żaden organizm pozbawiony życia nie przejdzie w zgniliznę, skoro odetniemy w jakikolwiek sposób przystęp zarodkom grzybków. Lecz obok wymienionego działania grzybków, przytoczymy inne, które niejednokrotnie dały się srogo we znaki ludzkości. W tych drobnych grzybkach poznano strasznych nieprzyjaciół, sprowadzających epidemiczne choroby. Od niepamiętnych czasów niszczy rdza, śnieć i inne choroby roślinne niemal wszystkie uprawiane rośliny, za któremi w ślad bieżą nieurodzaj, głód i drożyzna. Dość wspomnieć rok 1845, w którym zaraza kartoflowa zniszczyła cały plon ziemniaków i od tego czasu tu i owdzie występuje mniej lub więcej gwałtownie. Podobnież jawi się już w roku 1848 zaraza winogronowa i powtarza się niszcząco po wielu okolicach, porosłych winoroślą; zaraza zaś jedwabników (muskardyna) zniszczyła już niejednokrotnie całe jedwabnicze żniwo. Wszystkie te epidemie zaszczepiły te mikroskopiczne grzybki, których zarodniki roznoszą chorobę i śmierć organizmów dotkniętych. Na tem polu szczególne położyli zasługi niezmordowani badacze jako: Tulasne, Schroeter, Frank, Brefeld, Nowakowski, Prażmowski, przedewszystkiem zaś De Bary, którego klasycznym pracom, podjętym na zawezwanie król. tow. roln. w Londynie zawdzięczamy dokładniejsze pojęcia o zarazie kartoflowej.

Po tem, pełnem doniosłości stwierdzeniu, nasunęło się pokrewne pytanie, czyli przypadkiem owe epidemiczne choroby, jako dżuma, cholera, dyfterja itp. dziesiątkujące rodzaj ludzki, lub te zarazy bydląt, niszczące od czasu do czasu cały dobytek, nie są wynikiem zakażenia przez właściwe każdemu rodzajowi choroby grzybki mikroskopiczne. Tyle dotychczas jest pewnem, że wszystkie te choroby sprowadza zarazek, przenoszący się z zakażonego osobnika na zdrowy; w wielu wypadkach nawet dowiedziono, że niektóre zaraźliwe choroby są z rozwojem mikroskopicznych grzybków w nierozerwalnym związku. Dość wspomnieć o znakomitych badaniach Pasteura nad śledzienicą. Wykazał on dowodnie za pomocą doświadczeń, iż dżdżownice żyjące w ziemi, w której na wymienioną chorobę padłe zakopano zwierzę, łącznie z wyrzutami wydzielają też bakterje jakie spożywały ze szczątkami zakażonego ciała. Bakterje te dostawszy się na trawę roznoszą dalej zarazę. Zda się, iż różnemi drogami rozchodzą się te zarazki i dostają się do właściwych organizmów, w których w pośród przyjaznych rozwijają się okoliczności, zakażając opadnięte osobniki. Czemu jednak jedne osobniki zachowują się odpornie, czemu inne chociaż zakażone, nie ulegają zabójczemu działaniu tych niewidzialnych nieprzyjaciół, jakie to są własności tych zarazków, wszystkie te pytania obecnie nasuwają się badaczom. Te tajniki odkryte pozwolą na zastosowanie odpowiednich środków i zabezpieczą ludzkość od tych drobnych nieprzyjaciół, w obec których człowiek dziś nawet całą potęgą wiedzy swej wsparty, jest zupełnie bezsilnem stworzeniem.

KONIEC.

Z HEINE'GO.

Piękna rybaczko, z czółenkiem
Zbliż się do lądu, gdzie stoję.
Przybądź tu do mnie i usiądź,
Pieścić się będziem oboje.

Swą główkę złóż na mem sercu,
Złożywszy nie bój się wcale,
Wszakże codziennie, bez trwogi
Na morskie puszczasz się fale.

Me serce to istne morze,
Ma burze, przypływ, odpływy,
Ma także w głębi kryjówkę
Nie jednej perły prawdziwej.

St. Rossowski.

Kronika Tygodniowa.

Cały ruch, życie umysłowe nasze, w ostatnim tygodniu wyniosło się gromadnie, albo na willegiaturę, albo do Krakowa na dwa po sobie następujące zjazdy pedagogów i przyrodników. Zostaliśmy tedy na stołecznym bruku sami słabi na inteligencję, albo słabi na kieszeń, i którym nie pozostaje nic lepszego do roboty jak smarzenie się powolne wśród lipcowych upałów, tudzież napawanie się wonnościami Pełtwi, lub otwartych paszcz kanałów miejskich. Przeciętny Lwowianin, jak wiadomo, indywiduum na wszelkie dolegliwości życia nadzwyczaj wytrzymałe, skoro już nie może wyjechać na wieś, rozkoszuje się *per procura* imitacjami wiejskich przyjemności. Założywszy sobie w dziurkę od surduta rumiany goździk, lub trzymając go w zębach sposobem sportowania, jak to jest w modzie — zagląda parę razy dziennie do ogródków i pałaszuje wszystkie wytwory mleczne, począwszy od prostego od krowy, a skończywszy na pierogach z wiszniami z krzywem od krowy, to jest ze śmietaną zaprawioną, serem, kwaśnem mlekiem i innemi ingredyencjami podobnemi do mleka. — Dla rozmaitości, a raczej potrzeby ochłodzenia się — jedzie lub dąży piechotą w stronę sadzawek nazywających się tutaj szumnie stawami, to jest ku pełczyńskiej lub wóleckiej. Tam wyczekawszy parę godzin z bezprzykładną cierpliwością, albo rzuca się w topazowe fale wspólnej kąpieli, albo daje się zamykać do pewnych przybytków imitujących dość niezgrabnie lokalności dla istot, których nazwiska nie pozwala nam wymieniać kronikarska przyzwoitość. — Rzeczywiście, więcej prymitywnego urządzenia kąpieli trudno gdzie bądź na świecie wynaleść. — Wystawcie sobie nad głowami swemi rynnę, której otwór zatkany jest czopem, a w nogach studnię dwułokciowej głębokości, do której po odkorkowaniu owego czopa wali promień wody jakby kto człowieka kijem okładał — i to się nazywa kąpielą. W komórce ciemno, choć zęby wybij, woda szumi, że własnego głosu dosłyszeć nie można, a tu wlazłszy raz do owej studni, nie ma sposobu wydobycia się na wierzch. Wprawdzie na wyraźne żądanie kąpiącego, dadzą ci jakąś ławkę o różnej długości nogach, ale cóż, kiedy ta ławka nie da się zanurzyć w wodzie, lecz pływa wyrabiając bardzo nieprzyzwoite ewolucje. Nareszcie chwyciłeś ją przymusiwszy osadzić nogi na dnie — wychodzisz... Nowa przyjemność — całe ubranie twoje tak samo używało kąpieli i mokre jest, że niepodobna się ubrać. Siedzisz więc czytelniku, siedzisz i wyżymasz różne części ubrania, a tu w sąsiednich łazienkach krzyki kobiet i dzieci, szum spadającej wody, skomlenie psów używających kąpieli — słowem tartas, turkot, pisk, chaos, który dziurawi ci bębenki w w uszach i jak w starej harfie rozstraja nerwy.

Pomimo to wszystko, przeciętny Lwowianin wypuszczony z tej chłodnej łaźni powiada zadowolniony: „pyszna kąpiel“... I jabym się może zgodził na tę opinię, jednak z maleńką poprawką, żeby prócz tej wody, była gdzieś druga czysta, do obmycia się z tamtej.

Gdzieindziej, rada miejska dbająca o zdrowie stutysięcznej stolicy, pomyślałaby o urządzeniu publicznych kąpieli, w inny, więcej ludzki sposób, bo do kogoż należy opieka i inicjatywa nad zdrowiem i czystością miasta? Ale we Lwowie dalibóg nie ma z kim o takich rzeczach mówić. Raz na lat kilkanaście zdobyło się grono ludzi myślących o uporządkowaniu stosunków zdrowotnych i zaproponowało pożyczkę — to takie mu wyprawiają się hece, że niewiadomo czy się śmiać, czy ramionami wzruszać na podobnie dziecinną opozycję. — Gdy zaciągnięta pożyczka w sumie kilku milionów przedewszystkiem wpłynęłaby do kieszeni mieszczan i rzemieślników dając im na kilka lat pracę i korzyść przy robotach meljoracyjnych. — Stowarzyszenie właścicieli realności świeżo napisało gorący protest przeciw tej pożyczce i zbiera podpisy aby jej nie dopuścić... I to się nazywa u nas dobrze zrozumiany interes dla powszechnego użytku — zasługą obywatelską.

I dziwią się tu potem, że połowa mieszkańców wyjeżdża na lato, aby odetchnąć świeżem powietrzem, że tuła się i poniewiera gdzieś po miasteczkach wydając tam pieniądze, któreby w mieście zostały. A propo wyjazdu do zakładów wodoleczniczych, z powodu czynionych zarzutów, że ciśniemy się do takich Gräfenbergów, Kaltenleutgebenów i tym podobnych, nasuwa się pytanie dla czego, kiedy już mamy szukać kuracji za granicą, udajemy się do żydowskich zakładów, gdy prosperują tam i naszych rodaków jak np. w Weidlingau, lub Fürstenhofie. Pan Gumplowicz właściciel pierwszego, znanym jest jako znakomity lekarz i hydropata, a położenie Weidlingau tuż pod Wiedniem, w prześlicznej okolicy, daje wszelkie rękojmie, że kuracja tam prowadzona, w niczem nie ustępuje innym w reklamowanych zakładach spekulacyjnych. Tu przynajmniej powierzając się rodakowi, pod każdym względem czujemy się jak w domu, zwłaszcza przy znanej troskliwości i uprzejmości pana Gumplowicza, więc jeżeli dać komuś zarobić — lepiej swojemu, który pracując sumiennie, uczciwie i umiejętnie, ma prawo nie tylko do pierwszeństwa ale nawet do wdzięczności z naszej strony. Osoby, które w tych czasach odbywały tam kurację, nie mogą się odchwalić jego uprzejmości, i staranności, z jakiemi troszczy się o swoich pacjentów.

Doświadczenia dra Ochorowicza.

W ostatnim zeszycie *Niwy*, dr. J. Ochorowicz pomieszcza obszerną rzecz o hipnotyzmie i magnetyzmie.

Ze względu na żywe zajęcie się świata naukowego temi tajemnicznemi zjawiskami fizjologicznemi, wyjmujemy z rozprawki tej ustęp zamykający opis doświadczeń dr. O. z panną Lucyllą, znanem *medium* bawiącego między nami magnetyzera p. Donato.

„Przed kilkoma tygodniami — pisze dr. O. — p. Donato z panną Lucyllą przybyli do Lwowa. Rozumie się, że z wielką ciekawością poszedłem na ich przedstawienie i, przyznam się, że z pomiędzy magnetyzerów, jakich widywałem, ten przedstawił mi się najprzyzwoiciej — a *medium* jego także swojem skromnem zachowaniem się zjednało sobie sympatję publiczności.

Nie będę tu powtarzał opisu ich doświadczeń; czytelnicy mogli je poznać bądź naocznie, bądź ze sprawozdań pomieszczonych niedawno w gazetach.

Natomiast zdam tu sprawę z moich własnych doświadczeń, zachowując sobie na przyszłość szczegółowe ich opracowanie.

Uprzejmości p. Donato i panny Lucylli zawdzięczałem pozwolenie magnetyzowania jej samemu, i robienia prób, bez pośrednictwa p. Donato...

P. Lucylla, która przywykła ulegać tylko woli swego magnetyzera, nie bardzo była chętną mojej propozycji, nie powiedziała jednak tego wyraźnie, i zachęcona przez p. Donato, milcząco siadła na krześle, ustawionem w środku pokoju.

Ja usiadłem przed nią, ująłem ją za ręce i wpatrzyłem się w oczy.

Upłynęło 3—4 minut bez wyraźnej zmiany.

Zacząłem wtedy wykonywać tak zwane „pociągi“, dotykając tylko czoła i głowy.

Podczas ruchów ręki przed twarzą, powieki zaczęły opadać zwolna, jakby pociągane ku dołowi, nie domknęły się jednak zupełnie i dopiero parę ruchów palcami (bez dotknięcia) w tym celu dokonanych, zamknęło je szczelnie.

Upłynęło wówczas 5—6 minut od chwili zaczęcia manipulacji, twarz zmieniła się, zbladła nieco, ale widziałem, że nie był to jeszcze wyraz zupełnego uśpienia.

Prowadziłem więc jeszcze ruchy przed twarzą, dotykając drugą ręką czoła między brwiami. W 8 minucie rysy twarzy drgnęły, głowa lekko się zachwiała i nastąpiło głębokie wdechnięcie. Sen był zupełny.

Zbadawszy dokładnie stan skóry, mięśni, zacząłem próbować wrażliwości na zbliżenie mojej ręki.

Uśpiona czuła ją widocznie w odległości 8—10 cent., a to nietylko przed odkrytą skórą, ale i przez suknię.

Próby te robiłem głównie po za nią, upewniwszy się o zamknięciu szczelnem powiek.

Otóż mimo tych okoliczności, każde zbliżenie ręki do pleców od jednej lub od drugiej strony, wywoływało ruch w tym kierunku; mięśnie szyi i szczęki drgały za zbliżeniem się palców na odległość 4—5 cent.

Tak samo mięśnie poruszające palce; natomiast, gdym dotykał ujścia mięśni wyprostnych palców, ruchy w nich nie objawiały się.

W ogóle przy *dotknięciu* i *nacisku* skurcz mięśni nie powstawał, tylko przy *zbliżeniu* i to nie osobno lecz grupami.

Najwrażliwszemi na zbliżenie palców okazały się powieki.

Podczas gdy szczelnie były zamknięte, mogłem odpowiednim ruchem palców od góry, z odległości 3 do 5 cent.. wywołać otworzenie ich, a następnie podobnym ruchem ku dołowi zamknąć je; wrażenie tem doświadczeniem wywołane było zupełnie takie, jak gdyby między mojemi palcami a jej powiekami istniało rzeczywiste przyciąganie.

Jeżelim ruch podnoszenia lub opadania wykonał w połowie, powieki także zatrzymały się w połowie bez drżenia.

Samo się przez się rozumie, że robiąc te doświadczenia, nie mówiłem co chcę robić.

Działanie więc było tylko nerwowo odruchowe.

Jeżeli otworzywszy uspionej oczy, trzymałem przedniemi palce, wzrok jej stawał się jakby przykutym do palca i mogłem, zakreślając nim różne linje, zmuszać uśpioną do biegania za niemi wzrokiem, a w części i całem ciałem;

cofając zaś palce nagle podczas ruchu postępowego, wywoływałem katalepsję mięśni okoruchowych, i wzrok pozostawał martwo przykutym do punktu, w którym ostatni raz palec widział.

Chcąc ten stan znieść, musiałem oczy pacjentki zamknąć ruchem wyżej opisanym.

O ile wrażliwość skóry była spotęgowaną, świadczą następujące doświadczenia.

Stojąc za uśpioną, dotykałem ręką jej pleców, przez suknię i sznurówkę, żądając ażeby poznała którą ręką dotykam; trzymałem zaś przytem obie ręce tak, żeby nawet przy otwartych oczach domyśleć się nie mogła.

W pierwszej chwili nie umiała nic powiedzieć, lecz gdym powtórzył rozkaz, odpowiedziała trafnie raz i drugi...

Wówczas dałem znak p. Donato, który siedział za uśpioną i zajęty był pisaniem listów, ażeby zbliżył się i dotknął swoją ręką.

Ułożyłem to doświadczenie z góry i ciekawy byłem jego rezultatu, a to z następującego powodu:

W stanie tak zwanym magnetycznym, niespodziane dotknięcie osoby obcej wywołuje zawsze odruch odpychający i wyraz przykrości na twarzy.

Panna Lucylla okazywała to niejednokrotnie, gdy stojący na estradzie widzowie dotknęli ją przypadkiem, okazywała to nawet wtedy, gdy magnetyzer stał za nią i gdy nie mogła widzieć nawet kto ją dotknął.

Ponieważ teraz role były zmienione i ja z obcego stałem się magnetyzerem, ciekawy byłem rezultatu.

Ten zaś był taki:

Gdy pan Donato dotknął się jej pleców, drgnęła i odruch zwykły nastąpił, lecz za chwilę twarz jej rozjaśniła się i na ustach wystąpił słaby uśmiech, który trwał dopóty, dopóki on się dotykał.

Zapytana jak zwykle, która ręka ją dotyka, odpowiedziała, że prawa, a na pytanie czyja?

— Pana Donato — rzekła z tym samym przyjemnym uśmiechem, który miał w sobie coś automatycznego i kataleptycznego zarazem.

Gdy zaś ja dotykałem, poznawała tak samo; odruchu odpychającego nie było, ale twarz zachowywał wyraz zwykły, a na pytanie czyja? — odpowiadała ruchem głowy skierowanym w moją stronę, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Ten!

Chcąc następnie wypróbować wrażliwość słuchu, stanąłem w odległości czterech kroków i zacząłem liczyć tak cicho, że zaledwie obok stojący mógłby usłyszeć:

— *Un, deux, trois.*

Odpowiedziała że nie słyszy; wykonałem wtedy kilka magicznych ruchów pod lewem uchem, opierając się dobrodusznie na tradycji magnetyzerów i wróciwszy na miejsce, liczyłem powtórnie.

— *Un, deux, trois* — rzekła powtarzając.

Próbowałem jeszcze mówić na większą odległość — ale wtedy nic nie słyszała.

(Dokończenie nastąpi.)

Z WYSTAWY DZIEŁ SZTUKI.

Marmury, kosztowne wezgłowia i kwiaty, wśród kolumn rozpierająca się sala, u stóp świeża, ożywcza woda kąpie gładkie ściany basenu a w takich domach zbytkownych grono biesiadujących Rzymian, — oto płótno W. Kotarbińskiego zatytułowane: »*Obraz z życia starożytnego Rzymu.*« Uczta, pełne puhary, więc gwarne to życie, więc uśmiech na ustach, i ciągła wesołość i pieśń i muzyka, byle żyć dobrze i prędko. Kwiaty na skroniach, kwiaty sypiące się pod stopy, kadzidła wonne unoszą się błękitną smugą z misternie rzeźbionych waz, upajając rozkosznie oddanych hulance, — słowem wszystko co tylko zabawą, rozkoszą, co myśl rozpogadza i łechce zmysł, ponętnie składało się na to ich życie.

A jednak i w tem życiu były chwile, w których przez ciało przebijała się dusza, kiedy draśnięte uczucie upominało się o swoje prawa i przerywało harmonję hulaszczej pustoty, bodaj chwilą wiele mówiącego milczenia. Taką chwilę uchwycił artysta w ramy swego obrazu. Ugrupowanie śliczne, podniesione efektownie odpowiedniem tłem tak, że jedna strona jest w cieniu, druga rysuje się na jasnym, świetlanym horyzoncie osłoniętym lekką rzymską architekturą. Na pograniczu części oświetlonej i cienia, przypada właśnie punkt środkowy obrazu. Puhar porzucony pod nogi, kąpie się w świetle, które dalej spływa po posadzce, ku brzegom basenu, a głowa bohaterki — jeśliby tego wyrazu użyć wolno — owiana zupełnie cieniem. Główna ta postać jest ledwo zaszkicowana, a jednak wyraża całą myśl artysty. W twarzy ból wielki — ból duszy, ciało całe wyprężone, ręce wyciągnięte po sobie, zaciśnięte są kurczowo — a wszystko to dzieje się wśród wesołej biesiady, wśród porzuconych kwiatów, pieniących się puharów. Tylko, że teraz nastąpiła chwila milczenia, instrument z ostatnim dźwiękiem zamilkł ciśnięty o posadzkę, a na ustach przed chwilą ledwo, złożonych do wesołych okrzyków, zamarł głos i chęć śpiewu odbiegła.

I to wszystko zdziała chwila bólu kobiety.

Kompozycji przyznać trzeba wiele głębokiej myśli, wiele świeżości, co ją czyni zajmującą, i niepospolitą. W technice przeważa szkicowość, lecz nie przeszkadza to bynajmniej harmonijnej całości. Z szczegółów podnieść musimy wspomnianą już wyżej postać środkową, na lewo typowo ładną brunetkę, i tuż przy środkowej linji, pod marmurową, białą kolumną doskonale kontrastową parę: blondynki i czarnowłosego Rzymianina.

Po obrazie Kotarbińskiego najbardziej zwraca uwagę — i zasługuje na to — Pawła Merwarta *Hiszpanka*. Tło stanowią tu draperje ciemno-czerwone, na których rysuje się głowa otulona czarnemi koronkami lekko tylko odcieniowanemi od również czarnych włosów. Drobny kwiat czerwieni się w hebanie włosów — szyję okala sznur korali — a wszystko to razem składa się na efektowne podniesienie białości twarzy, szyi i piersi, lekko wznoszącej się w gorsie, zdobnym białym rąbkiem. Koloryt ogólny czyni miłe, harmonijne wrażenie; nie ma w nim nic rażącego, a ztąd uwaga widza nie rozstrzela się, lecz przeciwnie, spokojnie zatrzymuje się na twarzy. Karnacja dobra, zaleca się prawdą i świeżością, a podnosi ją jeszcze bardziej miękkość pędzla. Co zaś nadewszystko, podnieść należy, to tę bardzo ważną okoliczność, że artysta umie malować oko, tę niezgłębioną, a tak trudną do oddania źrenicę, którą nazywają źwierciadłem duszy.

Tegoż artysty »*Turystka,*« jest drobnym obrazkiem rodzajowym, noszącym najwidoczniej wszystkie cechy i zalety starannego, a lekkiego pędzla. W kolorycie znów harmonja godna pochwały, nigdzie nie ma nic sztucznego, nigdzie gonienia za efektami — spokój w przyrodzie, malowanej uroczo, a sama turystka jest prawdziwem cackiem. Jedną tylko drobną pozwolimy sobie zrobić uwagę, że strój turystki, dobry do pobliskiego ogrodu lub niedalekiego nawet gaiku, lecz z pewnością nie jest strojem turystki.

Tuż obok widzimy płótno Romana Kochanowskiego »*Motyw z naszej okolicy.*« Chata wiejska pod strzechą, dookoła płoty, przy nich drobiu trochę, dalej na prawo studnia, a przy niej spoczęła wieśniaczka. Zresztą bliższy i dalszy plan zajmują zboża, pastwisko... i wszystko ginie w spokojnym jednostajnym kolorycie. Takich chat i okolic u nas wiele, prawie wszystkie do siebie podobne, dla tego samego nie budzą wielkiego zajęcia, nie zwracają na siebie uwagi. Tak i z obrazem Kochanowskiego; ma on prawdę i piękno i pędzel zaleca się starannością i koniecznym spokojem do tego rodzaju sielanek, a jednak ten spokój w naturze przechodzi prawie w senność. Nie odbiera to wszakże zalet, tak w pomyśle, jak i wykonaniu — najsłabszą jest w technice wieśniaczka u studni. Artysta, chcąc ogólny spokój rozlać w obrazie i ją uczynił zbyt spokojną, a co więcej, pozującą do widza i jakby szukającą sztucznego spokoju.

Bez porównania słabszym, tak co do pomysłu, jako też i wykonania jest obrazek Stanisława Jasieńskiego »*Rekonesans*« (1863). Pomysł wymagał przedewszystkiem dobrego ugrupowania, w tem artysta zaraz na wstępie zbłądził. Jego jeźdźcy, a jest ich trzech, zbyt są równo w trzech kierunkach do widza zbieżnych ustawieni. Konie jakby do ziemi przyrosłe, a żołnierze na nich niby wśrubowani tak żaden z nich ani na włos od linji prostopadłej się nie pochylił. Ta sztywność w postaciach robi wrażenie jakiejś martwoty, a jeśli dodamy, że twarzom brak życiowej charakterystyki i wyrazu, że światło dziwne, jakiego nigdy w przyrodzie nie ma, to łatwo pojmie każdy, iż obraz nie robi nawet wrażenia natury i prawdy, przeciwnie ciągle każe pamiętać, że jest tylko malowidłem, nie dziełem sztuki. Oprócz farb i pędzla, mybyśmy chcieli trochę powietrza i światła, szerokiej, otwartej przestrzeni, po której zda się możnaby zatoczyć kołem i wolno puścić koniom wodze. Koń bojowy niech ma trochę przecie krwi, a powstańcy męztwo i zapał, ogień niech im tryska z oczu. Jeżeliśmy tak obszernie rozpisali się o kompozycji i wykonaniu »*Rekonesansu,*« to dla tego, że artysta okazuje myśl piękną i pracowicie, starannie oddaje się malowaniu, czego dowody w obrazie widoczne.

Wspomnimy jeszcze o obrazku Henryka Grabińskiego »*Krajobraz z nad Prutu*«. Jest to widok malowany z natury, zajmujący swą dzikością, piękny kontrastem skały, wody i zieleni. W odtworzeniu natury, w jej wyrazie ogólnym przyznać trzeba artyście talent — w samem zaś malowaniu, wielki jest błąd. Na obrazku Grabińskiego wszystko jest szare. Gdyby to był konieczny ogólny koloryt, niebyśmy przeciw temu

nie mieli — ale to jest tylko sposób cieniowania, do którego artysta używa prawie wyłącznie tylko czarnej farby. Robi to wrażenie rysunku kredą, pomalowanego przezroczysto. Tego powinien p. G unikać, a przyczyny dopatrujemy się w tem, że przeważnie oddaje się rysunkom kredkowym, a tem samem nie ma jeszcze wprawy w używaniu farb tak, aby cienie wydobywać jak nasilniejsze z małem tylko użyciem farby czarnej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zorjan.

„PAN TADEUSZ" SŁOWACKIEGO.

NOTATKA.

(Ciąg dalszy)

Wróćmy wszakże na chwilę jeszcze do znaczenia sztuki w życiu społecznem. Jeśli jak zaznaczyliśmy, brak „czystej" sztuki mało się w niem uczuwa, rzecz inna wcale z owemi jej porodami, które są realnym wyrazem historycznego narodów życia, które są żywemi historycznych momentów głosami, które bodaj w części są produktem objawiających się w społeczności czynów, i które same produkują czyny społecznej natury, lub do nich prowadzą, lub do nich popychają. — Odrzucić ich niepodobna, wydrzeć ich z oblicza dziejów nie sposób, boby to było tyle, co z żywej twarzy wyszarpnąć ciała szmaty, a więc tyle, co te dzieje okaleczyć, zeszpecić...

Nie miejmy *Sonetów Krymskich*, a pewna, że nie mielibyśmy cudnych, tęczowo barwnych, niezrównanych — mistrzowskich, słowem, perełek w literaturze naszej... westchnąćby nawet nad tem można było, że ich nie mamy, lecz na tem koniec; możnaby i *Pana Tadeusza* nie mieć, a literaturę mielibyśmy przecież, a życie społeczne szerokiemby płynęło korytem, a nie przestalibyśmy być narodem; wyrzućmy wszakże takie momenty narodowej twórczości, jakie stworzyły w Adamie niektóre części *Dziadów*, albo tylko *Odę do młodości*, a wówczas może istnieć i *Pan Tadeusz* i *Sonetów Krymskich* więcej niźli dziś wszystkich dzieł Mickiewicza, ale nie będziemy już mieli wielkiego Adama tem, czem on jest dla nas dzisiaj, ale brak nam będzie całej stronnicy dziejów, całego momentu społecznej samowiedzy... to rana śmiertelna w naszym organizmie społecznym coś — okropnego, prawie martwota i gangrena!

I tak w całym sztuki obszarze... Nie miejmy nic z urobów „czystej" sztuki, a nie mielibyśmy co prawda kilku hrabiów i nie hrabiów estetyków i profesorów, istnienie ich byłoby niemożebne, ale na tem i my i ludzkość cała małoby straciła; to i owo zaś w naszem życiu społecznem wygrałoby z tego powodu bezwątpienia; w istocie zaś przepadłoby nam połowę Mickiewicza przynajmniej, mniej nierównie ze Słowackiego i prawie nic z Zygmuntowych mesjaniczno- socjalnych marzeń... Po stratach wszakże takich i z tem tylko, coby nam zostało, pozostałby nam uniwersytet wileński z „promienistem" kołem swych wychowańców, pozostałby nastrój lat czterdziestych, tak nierozerwalnie z Juliuszem związany, pozostałaby wielka myśl mesyanicza o przerodzeniu społecznem, jedna z najpiękniejszych, najgorętszych i najżywszych myśli w łonie ludzkości... pozostałoby wreszcie niejedno, coby nam wystarczyło i co nam starczy, aby z rzędu cywilizowanych nie być wykreślonymi społeczeństw... Bez tego zaś, w skarby sztuki pięknej tylko zasobni, pozostawilibyśmy po sobie światu imiona naszych Homerów i Fidjaszów, ale nie pozostalibyśmy sami, albobyśmy dziś co najwięcej wyczekiwali w agonii chwili, w którejbyśmy mieli usłyszeć wyrok historji, wyrywający nasze istnienie z pomiędzy ogniw łańcucha ludzkości...

Porzucając mistrzów, na mierniejszych duchach to samo byśmy spostrzegli; porzucając poezję, nie co innego w malarstwie lub muzyce, lub w jakimkolwiek sztuki rodzaju widzieć byśmy mogli... Nie tu wszakże miejsce przedstawiać poszczególnie, coby nam lepiej utracić było można, a coby nam pozostać powinno; ktoby nam przepadł całkiem, a kto w części tylko i w jakiej mianowicie. Wtrącimy jedynie, skorośmy o mesjanizmie Krasińskiego nadmienili, że mało kto chętniej, i ze złośliwszą tendencyjnością „hrabią poetą" go nazywa, mało komu bardziej halucynacyjną jego mistyczność się wydaje, mało komu wreszcie większą sprawia nudność, jak nam szlachetczyzna jego; ale mimo to wszystko, nie wielu może tak bardzo, tak z duszy całej pragnęłoby, jak my, tej chwili prawdziwie społecznej, w którejby krytyka zdrowe jądro z jego poezyj wydobyła, a społeczność nasza, tak już w świadomość urosła, żeby zasmakować w tem ziarnie mogła i ocenić go należycie umiała, nie bacząc na dziwaczną skorupę, w którą tak starannie nasz mesjanista istotę swej poezji owinął...

Jeżeli wszakże autor „Irydjona," „Nieboskiej" i przedewszystkiem „Niedokończonego poematu" do rzędu sympatycznych dla nas i „produkcyjnych" umysłów w dziedzinie sztuki należy, choćby dla tego, że mu najwięcej do twarzy na parnasie naszym z określeniem poety i myśliciela, wypowiedzianem dosyć już dawno zresztą przez Piotra Leroux, ale nie dającem się dziś przepomnieć: *A un point de vue élevé les poétes sont ceux qui d'epoque en epoque signalent les maux de l'humanité, de même que les philosophes sont ceux, qui s'occupent de sa guerison et de son salut*; jeżeli mówimy, Krasiński głębokiej socjalności swoich utworów zawdzięcza, że między martwych kolosów sztuki nigdy wliczony nie będzie, to dzieje społeczeństwa naszego tem więcej zaszczyt podobny Słowackiemu przyznać muszą...

Autor odpowiedzi „Autorowi trzech psalmów" — nietylko w poezję swoją pewną ideę społeczną kładzie, ale jest szermierzem; walczy on i bojuje wszystkiem, co najpiękniejsze w jego utworach — walczy zapamiętale, z całą namiętnością żywego społecznie indywiduum póty, póki skrzydeł swego geniuszu o towiańszczyznę nie roztrzaskał, póki w aberrację nie wpadł umysłową, która o tyle społeczeństwu pożyteczna tylko, o ile przydatna dla psychiatrycznych dociekań... W poezji Słowackiego zgoła wszystko, od najpiękniejszych jej, aż do najsłabszych stron, znamionuje rycerza, któremu, nie tyle o siebie, ile o zwycięztwo chodzi swoje. Słowacki zawsze, najczęściej jest tem, na co się raz prawie tylko zdobył Mickiewicz w improwizacji Konrada: „Samotność, cóż po ludziach." U Mickiewicza wszakże był to wysiłek niepospolity, była to ekstaza, szczególne, a wyjątkowe ducha podniesienie; Juliusz zaś ciągle taki, zawsze żądny władania dusz tysiącami, zawsze wyzywająco pewny siebie, jak „Proroki dusz władcy," zawsze gotów na wszelką zawadę szerzeniu się swej myśli porwać, nie bacząc na jej ogrom, jak Konrad, kiedy się z Bogiem swarzy i kłóci.. Co więcej, Juliusz nietylko zdolny się kłócić i wyzywać, nie tylko odważa wyczekiwać zapasów z najpotężniejszym wrogiem, owszem sam na niego leci, sam go napada sam go gryzie i pożera jadem swoim .. jeszcze niepewny zwycięztwa swego, a już się z zapaśnika zuchwale naigrawa, — zgoła jest heroicznym szaleńcem, który przed niczem się nie cofa, któremu żadne nie zamrze na ustach słowo, jak ostatnie Konradowi zamarło... Nie ma w nim obawy, choćby się miał odwagą swoją w czeluście piekieł wtrącić... Najgłówniejsza cecha szermierza społecznego: *nieuznanie kompromisu* w Juliuszowej poezji dobiega zenitu...

Między Słowackim a Mickiewiczem prawie taka różnica, jaka jest między Gustawem, werterowsko umierającym z rozpaczy, zagnanym na cmentarzyska między duchy miłością zawodną, a Kordjanem, chwytającym w takiej chwili za pistolet — taka między nimi różnica, jaka jest między dalszym ciągiem „Dziadów„ i „Kordjana."

Dwu tych mistrzów nie postawisz obok siebie, jak nie zwiążesz w parę sentymentalnego, a egoistycznie moralnego Werthera; lub znowuż Gustawa, takiego czułego i tak rozczulającego serca tkliwe; albo zbierającego grzyby i mrówki z Telimeny, zawsze a zawsze poczciwego Tadeusza; albo wreszcie przemądrzałego aż za przesadnie Fausta: jak nie zwiążesz żadnego z nich z obrzydliwym czasem, a jednak tak mało egoistycznym i tak zawsze sympatycznie żywym, naturalnie żywym Don Juanem, który dla tego tylko do porównania ze Słowackim nieodpowiedni może, że go Byron nie zdążył z uścisków Julięty, z objęć miłosnych czarnookiej Greczynki lub z haremowej rozkoszy przerzucić do Francji w ostatnie dnie XVIII wieku, jak to wyznaczył sobie w planie tego utworu...

Nie mamy atoli dziś zamiaru całości Juliuszowej określać poezyj; dość tego, cośmy powiedzieli, aby przejść do jednej z drobniejszych jej cech, uwydatnionej wyraziście w zapasach mistrza-szermierza z mistrzem-artystą...

Często wspominają biografowie o nienawiści prawie, albo zazdrości jakiejś Słowackiego do Mickiewicza, podnoszą ustępy świadczące o tem z listów do matki, wspominają o pewnem spotkaniu się dwóch mocarzy polskiego parnasu w Paryżu, gdzie spróbowali sił swoich w improwizacjach, zmierzyli i porównać chcieli swoją wielkość...

Częste o tem jest gadanie, ale bez znaczenia, niby o szczególe, o którym mówić trzeba, a jakoś niemiło... a więc z obowiązku tylko grzebania się w każdym duszy zakątku ofiary wielkości; to znowu prawi się o tem, ze źle zamaskowaną chęcią poniżenia lub wywyższenia jednego z zapaśników... a we wszystkiem tem nigdzie cienia nawet zadawalającego tłumaczenia tej „nienawiści" i tej „zazdrości" — tego momentu z życia Słowackiego, i co przykre zwłaszcza, nigdzie tłomaczenia, odpowiedniego godności, jakąby natchnąć powinno rozumienie tworów tego wielkiego ducha.

Mamyż my tłómaczyć i porywając się na tłumaczenie „odpowiednie" i „zadawalające", piąć się innym nad głowy?

Bynajmniej! Tak bardzo mało życzymy sobie wywyższyć się nad głowy „koryfeuszów“ naszych, takbyśmy sobie życzyli zupełnie na boku stać od nich! Nie tłumaczyć będziemy, rzucimy tylko przy sposobności myśl, że całe to zajście nic innego, jeno przejaw społecznego szermierstwa Juliusza, nic co innego, jeno konieczny wynik charakteru jego poetycznego ducha, jeno szczegół pysznie harmonizujący z całością jego poezji i jej walczącej socjalności.

Przynajmniej niesłusznem i czemś w kolizję i z prawdopodobieństwem wchodzącem, wydaje się nam twierdzenie, że ta „nienawiść“ Juliusza ku Adamowi, to tylko powszedniej akt zazdrości, coby znowu wołać kazało: że Juliusz, duch tak bardzo od Adamowego poziomszy, tak bardzo zwyczajny, mizerny i politowania poprostu godny, iż zazdrostki pospolite, do takiej urość w nim siły, tak bardzo go zaabsorbować, tak mu boleśnie dokuczyć i tak namiętne z piersi jego potok żółci wylewać mogły...

Podobne rzeczy widzenie psychicznie nawet jakoś nieprawdziwie wygląda i pod każdym innym kuleje względem...

To żadną miarą nie „zazdrość“ mierna i brzydka i nie przypadająca do ogólnego wielkiego poety nastroju. Owszem, podobnem to jest uczuciu temu, jakie rozpierało piersi Konrada, kiedy się ciskał rozszalały w bezsilności swojej i także zazdrościł samowładcy dusz człowieczych i nienawiścią ku niemu pałał, za to, że władczo rządzić może, a nie rządzi, jakby mu przystało, jakby rządził Konrad, gdyby się wdarł do nieba na jego miejsce...

Słowacki, jak już nieraz powtórzyliśmy, należy do rzędu tych ludzi i poetów, którzy mają pewne przekonania społeczne i polityczne i to ustalone dosyć i określone bardzo; kocha je niezmiernie, jak każda jednostka społecznie wyrobiona i uczciwa, wierzy w nie święcie, fanatycznie jakoś, co w nim stwarza chęć ich obrony, chęć walki w ich imię tak zażartej, jak wielka owego kochania potęga, jak wielka moc owej wiary fanatycznej. Nie mógł on wszakże zadowolnić się walką dla walki, bo byłaby ona równie niepoważną, jak „sztuka dla sztuki“ i przypadkowo tylko dla społeczności użyteczną; silne przekonania w nim, a określona w poezji jego idea, jeśli tylko nie był deklamatorem, musiały w nim rodzić piekącą żądzę wpływu na społeczeństwo — wpływu co najobszerniejszego, bo im większy byłby ten wpływ, im obszerniejsze władcze jego panowanie nad umysłami, tem pewniejsze — zdawało mu się — społeczeństwa uszczęśliwienie, albo przynajmniej znaczniejszych w nim wadliwości poprawienie.

Jeśli mu wśród walki stanął, jako zawada, jakiś bojaźliwszy „Psalm“ Zygmunta, który szczerze i niemniej potężnie uszczęśliwienia społeczeństw pragnął, ale w dziwactwie swojem chciałby mieć pracę koło tego taką, w którejby wszystkiego białą można było dotknąć się rękawiczką i nie zbrukać jej niczem; jeśli mu tylko to w poprzek drogi do zwycięztwa się kładło, wówczas jednem ducha wysileniem zmiatał zawady takie, jedną psalmom odpowiedzią goliatowo miażdżył dziwaczność wszelką i szedł tryumfujący dalej... Inaczej, skoro mu wadził potężniejszy wpływem, większy artyzmem, ale i bezbarwnością społeczną także większy Mickiewicz — temu odrazu nie podołał; musiał z nim zaciętą i dłuższą trochę stoczyć walkę.

Widział, że owa bezbarwność powszechniejsze właśnie przeciwnikowi jedna uznanie, widział, że użytkuje on geniuszu swego potęgę na wciągnienie narodu całego na mglistej nieokreślności społecznej manowce, — drżał wówczas o pomyślność walki swojej, drżał o społeczność, którą chciał uszczęśliwić żywotnością idei swojej i na bezbarwność wylewać jadu gorycz, w jak cudnie głębokim wierszyku: „Krzyczeli Polska!“ (pośmiertne poezyj wydanie A. Małeckiego), albo też wątpił, czy tego dosyć i miewał chwile Konradowe i pałał żądzą posiadania potęgi Adama, aby ją zużytkować inaczej, wedle mniemania swego, lepiej, moralniej, społeczniej...

U nas nie to, co w poezji Mickiewicza istotnie wielkie i uznania godne, a sam Mickiewicz jest rodzajem literackiego bożka, którego jeśli dotkniesz krytycznie, już na ciebie krzyczą jak na świętokradcę.

Zostawmy to wszystko jednak i przejdźmy do tego, co było powodem wypowiedzenia paru uwag powyższych.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Kraków — Zagrzebiowi, publikacja staraniem „Koła literackiego“ w Krakowie wydana, rozeszła się całkowicie po szerokim świecie.

„Koło“ przygotowało właśnie drugą, znacznie powiększoną edycję.

*** *Grube ryby!* Taki jest tytuł trzyaktowej komedji, którą w tych czasach wykończył pan Michał Bałucki. Treść jej wzięta jest z życia mieszczańskiego, a *grubemi rybami* są dwaj bogaci starzy kawalerowie, którzy ufni w swą fortunę, są przekonani, iż wszędzie chcą ich ciągnąć do ożenku. Akcja żywa i charakterystyka wybitna są zwykłemi zaletami pana Bałuckiego; utwor też ten w zalety obfituje. Komedja ta przedstawioną będzie najpierw w Warszawie.

*** Prof. dra Gustawa Roszkowskiego dwie broszury; „O środkach międzynarodowych przeciwko Nihilistom“ i „W sprawie Mithada Baszy“ drukowane w „Dzienniku Polskim,“ wyszły w tych dniach w oddzielnej odbitce.

*** Niedawno wyszło z druku dzieło prof. A. Pawińskiego, p. t. „Portugalja (listy z podróży)“ tłumaczone jest obecnie na język portugalski.

Według wiadomości podanych przez dziennik lizboński *Diario de Noticias*, przekładu tego dopełniają Consiglieri Pedroso i Goncalves Vianna, dwaj znani autorowie portugalscy, którzy się sami po polsku nauczyli..

*** Znany historyk rosyjski Kostomarow, jak donoszą gazety petersburskie, ukończył obszerne studjum o Mazepie. Z uwagi na dostęp, jaki p. Kostomarow do źródeł urzędowych uzyskał, praca ta ma dla nas bardzo ważne znaczenie, rozumie się po za obrębem tendencyj właściwych autorowi: „Ostatnich lat Rzeczypospolitej.“

*** Franciszek Coppé wydał nowy zbiór poezyj p. t. „Contes en vers“. Tytuł określa całkowicie rodzaj i charakter tych nowych produkcyj autora „Przechodnia“ i „Opuszczonej“. Są to zręczne, czasem zabawne, czasem znów dramatyczne nowelki, opowiedziane gładkim i wytwornym wierszem, które jednak przy opowiedzeniu prozą, nie straciłyby wiele na wartości. Jestto ich zaletą, a zarazem słabą stroną.

*** „Nowy przewodnik po Krakowie“ wydała firma F. K. Pobudkiewicza. Jest to wskazówka treściwa dla zwiedzających miasto, uwzględniająca wszystkie zmiany zaszłe w ostatnich czasach, dopełniona niezbędnemi informacjami i adresami artystów, literatów, lekarzy i adwokatów.

*** Koszta będącego w druku katologu Muzeum brytyjskiego w Londynie dosięgają niesłychanej sumy 70.000 funtów szterlingów, czyli około 700 tysięcy złr.

Cena kompletnego egzemplarza, jak donoszą gazety londyńskie, oznaczoną została 200 funtów szterlingów (około 2.000 złr.)

*** W gmachu Akademji sztuk pięknych w Krakowie, w pracowni Żmurki, olbrzymie płótno młodego tego artysty przedstawiające „Śmierć Agrypiny“, blizkiem już jest ukończenia.

Ci, ktorzy mieli sposobność widzieć ów obraz w obecnej jego fazie, z wielkiemi odzywają się pochwałami, tak o pomyśle samym, jako i wykończeniu szczegółów.

Pierwszy to będzie obraz Żmurki wykonany na wielką skalę.

Wyraz twarzy nieprzytomnego Nerona i otaczających go cudnej piękności kobiet, kilka figur bocznych, zwłaszcza postać rybaka przypatrującego się ciału utopionej, odmalowane są z wielkim talentem.

Mistrz Matejko bardzo sympatycznie śledzi postęp tej pracy, która w karjerze artystycznej Żmurki stanowić będzie, według zdania znawców, znaczącą epokę.

Społeczne i ekonomiczne.

*** W Anglji ma powstać nowe towarzystwo p. t. „Anglo-Israel Society“, mające na celu zaludnienia Palestyny przez żydów.

*** W Londynie utworzyło się towarzystwo akcyjne, mające na celu wzniesienie w Ostendzie wielkiego hotelu o trzystu pokojach, z którym ma być połączony wielki międzynarodowy klub. Patronat towarzystwa objęli książę Walji i król belgijski. Hotel wzniesiony będzie w pobliżu zamku królewskiego i pomieści zakład leczniczy zimną wodą.

*** „Ogrodnik polski“ w zeszycie za m. lipiec podaje wiadomość, że sprowadzono do Francji ziarno nowej rośliny groszkowej z Chin, znanej tam pod nazwą *hei-teu*, a której Chińczycy używają zamiast owsa.

Od tej rośliny konie nabierać mają siły nadzwyczajnej i bardzo pięknego połysku sierści.

Nasiona hei-teu, z rozkazu ministerstwa rolnictwa we Francji, poddane zostały rozbiorowi chemicznemu, z którego okazało się, że są o trzy razy bogatsze w krochmal i białko od owsa.

W roku nawet bieżącym, p. Faivre, bankier w Beaune, posiał u siebie pewną ilość sprowadzonego z Chin ziarna, a rezultat ciekawym będzie dla wszystkich chodowców koni, przeważnie zaś dla rolników.

Jeżeli próba wypadnie pomyślnie, nowa roślina stanie się groźnym współzawodnikiem owsa, którego plon z każdym rokiem się zmniejsza, a cena dziś tak jest wygórowaną.

Treść: Głowa budowca. W. Benesza Szumawskiego. — Zagadnienia botaniczne, przez prof. Wład. Boberskiego. (dok.) — Z Heinego, wiersz St. Rossowskiego. — Kronika tygodniowa Z wystawy dzieł sztuki przez Zorjana — Doświadczenia dra Ochorowicza. — «Pan Tadeusz» Słowackiego; notatka. — Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, tom II-gi, arkusz 15-a.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.